Nr. 15. Lwów, 1. sierpnia 1902. Rok XXV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

1. Worobecki Józef.
2. Mierzeński Włodzimierz.

Zmarł:

1. Neymanowski Tadeusz.

Epidemia wścieklizny u lisa i borsuka,

występująca w Galicyi w latach 1900 i 1901*).

Napisał Dr. Tadeusz Gabryszewski.

Kiedy w 5-tym numerze „*Łowca*“ r. 1901 ogłosiłem statystykę wścieklizny u lisa i borsuka, jaka wystąpiła w ciągu roku 1900 w powiecie bóbreckim, powstało ogólne zdziwienie i zajęcie się tą sprawą. Bo, że wścieklizna te zwierzęta dotyka, o tem wiedziano powszechnie, ale że może ona ogarnąć tyle osobników, że powstaje epizoozya i to o tak szerokim zakresie, jak to miało tu miejsce — to było rzeczą niezwykłą i zupełnie nieznaną.

Liczne pytania i listy, jakie nietylko z kraju, ale i z zagranicy nadeszły, świadczą wymownie o tem, że stanęliśmy w obec sprawy niezwykłej, godnej jak najbardziej szczegółowego zajęcia się nią i najściślejszego jej badania. Uczeni tej miary, co prof. Bujwid, kierownik intytutu Pasteurowskiego w Krakowie i najlepszy dziś w Polsce znawca i badacz wścieklizny pisze wkrótce po pojawieniu się mej pracy, że „jestto w literaturze unikat“, zachęca do dalszej obserwacyi i ogłaszania wyników tejże w pismach lekarskich i przyrodniczych.

Pobudzony przez niego, tem pilniej starałem się dotrzeć do źródła choroby, badać warunki, wśród których ona wystąpiła i śledzić dalszy jej przebieg, zbie-

*) Sprawa ta miała być odczytaną na VI. Zjeździe łowieckim we Lwowie w dniu 30. czerwca 1902.

rając możliwie wszystkie przypadki. O ile mi się to udało przedstawiam w chronologicznym porządku, podając w możliwem streszczeniu przypadki już wpierw w *„Łowcu“* ogłoszone — dokładnie te, których wówczas jeszcze nie znałem.

Kazuistyka.

Rok 1900.

1. W miesiącu marcu 1900 napada lis dozorcę Sokoła w Suchodole. Lisa zabijają – jest bardzo wynędzniały.

2. Tamże dozorca Sokół znajduje w marcu lisa nieżywego w lesie. Lis silnie wynędzniały.

3. Tamże w początku kwietnia znajduje znowu w lesie lisa nieżywego. Wygląd jego bardzo nędzny.

4. W połowie kwietnia znajduje znowu wyschłego lisa.

5. Na leśnictwie w Suchodole zabijają lisa, który gryzie się z psem łańcuchowym. Lis znędzniały, wyszargany.

6. W Chlebowicach zabijają lisa na obejściu chłopskiem.

7. W końcu kwietnia ubijają borsuka na polu w Budkowie. Borsuk jest wyschły, z ranami na karku i pośladkach.

8. W pobliżu dozorców i Sokoła w Suchodole zabija chłop lisa, nie starającego się nawet uciekać.

9. Z początkiem czerwca zabija chłop na polu w Budkowie borsuka wyglądającego zdrowo.

10) W początku sierpnia znajdują pod lasem w Staremsiole lisa nieżywego, o wyglądzie zdrowym. W pysku ziemia i trawa.

11. Tego samego dnia zastrzelono w ogrodzie leśnictwa Staresioło nie uciekającego lisa. Wygląd zdrowy.

12. W drugiej połowie września zabija chłop w lesie Tołszczowa rzucającego się na niego lisa.

13. Nieco później lis rzuca się na chłopa we wsi Tołszczowie, i ten go zabija.

14. Psy pana Kesselringa w Suchodole zagryzają w połowie września lisa, nie uciekającego przed nimi. Lis wyniszczony.

15. Polowy z Tarasowa zabija lisa, który rzucił się na niego wieczorem.

16. Dozorca Pochmurski w Suchodole, strzela lisa uganiającego po podwórzu. Wygląd lisa zdrowy.

17. Raab dozorca w Suchodole strzela lisa gryzącego się z psem na obejściu chłopskiem.

18. W Chlebowicach równocześnie zabijają chłopi lisa, napadającego na chłopców idących do szkoły.

19. Na zrębach Suchodolskich lis wpada między ludzi, pracujących przy kulturze.

20. W Hucie Suchodolskiej kamieniarz zabija młotem lisa, pragnącego go pokąsać.

21. W Suchodole zabijają lisa, kąsającego się z psem łańcuchowym.

22. Borsuk rzuca się na dziewki, idące lasem w Hucisku — zabijają go.

23. Tamże ubijają w czasie robót letnich lisa.

24. 25. jeszcze dwa lisy, nie uciekające przed ludźmi.

26. Również w Hucisku zabijają lisa chroniącego się do pieca piekarskiego.

27. Chłop zabija w Wybranówce lisa, atakującego krowy.

28. Leśniczy p. Kniżatko w Wybranówce strzela lisa — zuchwale na idącego czekającego.

29. Wasyl Horbal w Budkowie zabija kołkiem lisa przy psów budzie. Lis bardzo nędzny.

30. Tamże dozorca Susłowski zastrzelił we wrześniu lisa, napastującego cielę pod lasem.

31. 3-go października zabijają chłopi w Kuhajowie (pow. Lwów) lisa rzucającego się na cielę, pasące się we wsi, między domami.

32. 11-go października zabija chłop lisa, gryzącego się z psem łańcuchowym. Lis dobrze utrzymany i odżywiony — szczepienie dyagnostyczne stwierdza wściekliznę.

33. W późnej jesieni na ścierni pod lasem, do gminy Świerz (powiat Przemyślany) należącym, zbliżył się do pastuszków grzejących się przy ogniu lis z głośnem prychaniem. Dzieci krzykiem i patykami zdołały go odpędzić, a lis zawrócił się ku chatom, gdzie pokąsał psa i świnię. (A. Madeyski).

34. W Haczówce, (pow. Przemyślany), przyszedł lis w nocy na podwórze Mortka, słynnego złodzieja, który we wolnych od głównego zawodu chwilach, trudnił się kołodziejstwem. Mortko słysząc jak pies łańcuchowy zawzięcie ujada i bojąc się, czy to nie złodziej, któryby jego materyały kradł, wypadł wraz z synem, uzbrojeni w kije i spostrzegłszy lisa dobierającego się do psa, drągiem go ubili. (Madeyski).

35. W Hanaczówce w parę dni później przyciągnął lis do leśnictwa i szedł ku psu, który z uwięzi do niego się zrywał. Domownicy wiedząc, że wściekłe lisy się pojawiły, zabrali psa do stajni, a lisa kijami z podwórza spędzono. Lis ten pociągnął się do wsi, gdzie go chłopi pałkami zabili. (Madeyski).

36. W listopadzie na drodze między Podmonasterzem a Bóbrką napada lis kobietę, na krzyk której nadbiegł dozorca Koński i zatrzelił go.

37. Łuć Soroka znajduje na swem podwórzu w Tołszczowie dogorywającego już lisa.

38. W początku grudnia znajduje włościanin w Podmonasterzu lisa zabitego w stajni kopytem końskiem.

39. W tym samym czasie dozorca Susłowski w Budkowie strzela lisa gryzącego się ze swoim psem. Lis wyniszczony mocno.

40. W Szołomyi p. Majer zostaje na dworskiem podwórzu zaatakowany przez lisa, którego pies odpędza, poczem psy wiejskie go dogryzają. Lis broniąc się pokąsał kilka psów. Między innymi 24 lutego t. j. w 60 kilka dni później, ukąsił jeden z pokąsanych wówczas psów swoją gospodynię Paraskę Bib, gdy mu jeść podawała. Uszkodzenie to było na szczęście tak powierzchowne, bez obrażenia przyskórka, że do zakładu prof. Bujwida wysyłać jej nie potrzebowałem.

41. 21 grudnia zabijają lisa na podwórzu ks. Gwozdeckiego w Chlebowicach, gdy kąsał świnię.

42. Dozorca Baj z Budkowa znajduje we wilię lisa nieżywego w jamie, z której strzela się lisy na przynętę stawianą. Wygląd lisa normalny, tylko w pysku i gardle ma pełno mchu i ziemi.

43. 22 go grudnia o 6-tej rano wpadł lis na podwórze dworu w Strzałkach i ukrył się w kupie chrustu. Dwa psy nowoziemce p. A. Ożarowskiego zaczęły go stąmtąd wyruszać, jakoż wyszukały i zadusiły. Był to osobnik mocno wyszarzany i wynędzniały. Psy napozór nie uległy żadnemu widocznemu obrażeniu cielesnemu ale tylko napozór, bo w 11 tygodni później jeden pies dostał wodowstrętu i zginął. Nieco przed psem wściekł się i kot domowy, który w tej kupie chrustu, miał swoje zwykłe legowisko. (Ożarowski).

44. 29 grudnia zabito lisa na leśnictwie w Staremsiole gdy się z psem łańcuchowym ścinał. Wygląd lisa prawidłowy.

Rok 1901.

45. W Romanowie na t. zw. „Łysej górze" dozorca lasu Romaniszyn idąc tropić w styczniu, zobaczył na drodze wprost na siebie idącego lisa z jakimś czerwonym przedmiotem w pysku. Wyczekawszy aż lis się dobrze zbliży -- strzelił i lisa zabił. Lis niósł kawałek czerwonej chustki czy spodnicy. (Madeyski).

46. i 47. W tym samym miesiącu ubito wśród białego dnia we wsi Romanowie w obejściach włościańskich dwa lisy, wcale nie uciekające. (Gajewski).

48. Na podwórzu Seńka Lelucha w Podhorodyszczu zabito kijami lisa w agreście. (Gajewski).

49. Mieszkańcy folwarku Romanowskiego Futryk i Głowacki idąc przez Podhorodyszcze spostrzegli lisa siedzącego pod mostem i przyglądającego im się ciekawie. Po strategicznie obmyślanym planie lisa osadzili i bez trudu motyką wyprawili w lepsze strony. (Gajewski).

50. W początku stycznia rzuca się lis na żyda jadącego saniami z Lubeszki — mimo bicia stara się go kąsać i po wielkich trudach i strachu, zostaje przez potomka walecznych Machabeuszów uśmiercony. (Pauli).

51. W tym samym czasie nadbiega lis na podwórze młyna w Lubeszce w samo południe i zaczyna się gryźć z psem. Ludzie się zbiegają z odsieczą i lisa zmagają.

52. W Świrzu lis pokąsał dwoje dzieci Połazińskich — poczem poszedł w kierunku Stok, gdzie pokąsał psa. Lisa tego zabito -- sekcyę jego przeprowadził weterynarz powiatowy z Bóbrki p. W. Rudnicki. Wynik sekcyi wedle jego orzeczenia był dla wścieklizny charakterystyczny.

Jan Połaziński 9 l. liczący był następnie leczony w zakładzie szczepień ochronnych w Krakowie.

53. W Trybuchowcach wpada lis między gęsi chodzące po podwórzu karczmy i szerzy między niemi spustoszenie mimo krzyku i gwałtu karczmarza. Żydzi wypadłszy gromadą zabili go.

54. Iwan Lewicki idąc koło młyna w Romanowie spostrzegł lisa biegnącego ulicą wprost na siebie. W chwili, gdy był o krok od niego oddalony, trzasnął go obuchem po łbie i trupem położył. Był to osobnik tak zaszargany i wydarty ze sierci, że go chłop (na skórę jak wiadomo okrutnie łakomy) nawet brać nie chciał. (Gajewski.)

56. Dmytro Infant w Romanowie zabił lisa gryzącego się na swojem obejściu z psami. (Gajewski.)

56. Pan Adolf Gajewski, zarządca klucza Romanowskiego, postrzelił lisa wypłoszonego z pod szpichlerza, a kiedy następnie saniami go najeżdżał, lis zamiast uciekać, zwrócił się wprost na jadącego, przyczem przypuszczony na kilka kroków, od strzału zginął. Lis wyglądał również bardzo nędznie, wyschły był jak łupa i wyszargany.

57. W lutym przyszedł lis na dziedziniec w Strzałkach i rozpoczął gonitwę za kaczkami. Spostrzegli to fornale i nie mogąc go dopaść z dziedzińca spędzili. Lis popędził do wsi i tam przez chłopa, na którego się rzucił, został zabity. Był również jak trzaska wychudły i jak sama nędza zmizerowany.

58. W Łankach na obszarze dworskim zabito w lutym wałęsającego się bezmyślnie lisa między budynkami gospodarskimi. (W. Niezabitowski.)

59. W marcu w Stanimirzu (pow. Przemyślany) 20-letni parobek zajęty był w piwnicy przebieraniem ziemniaków. Gdy po przed otwór jamy mignęła mu sylwetka lisa, zdziwiony, co za gość w biały dzień przechadza się po jego podwórzu, wysunął przednią część ciała z jamy. W tym momencie lis rzucił się ku niemu i ugryzł do krwi w czoło. Chłopak odruchowo zasłonił twarz ręką, a wtedy lis chwycił zębami za nią i mimo wstrząsania i odrywania odczepić się nie dał. Powlókł się więc ten mimowolny myśliwy z wiszącym u ręki lisem do chaty, gdzie ojciec młotem lisa zabił i dopiero wtedy tężcowo ściśniętę szczęki otwarto i rękę uwolniono.

W kilkanaście dni później chłopak dostał pierwszego napadu wścieklizny. Odwieziony do szpitala w Przemyślanach, po kilku napadach (w czasie jednego wyskoczył oknem i mocno się potłukł) — wśród strasznych męczarni zakończył życie.

(Pan Grand, zarządca lasów w Ciemierzyńcach, czytając ten wypadek, pisze, że lisy i borsuki w jego rewirze cieszą się dotąd dobrem zdrowiem i wyglądem.)

60. W marcu zabito na podwórzach dworskich w Łankach drugiego lisa. (P. Niezabitowski.)

61. Dnia 17. marca usłyszał Iwan Kimiak, dozorca lasowy w Sarnikach, jak świnia w chlewie zamknięta przeraźliwie kwiczy i po chlewie się rzuca. Otworzywszy drzwi, zobaczył lisa kąsającego ją zawzięcie. W obronie swego dobytku, do której stanął z gołemi rękami, odniósł ranę na dłoni prawej, ale lis dał gardło. P. W. Czaykowski, u którego Kimiak służy, przysłał go zaraz do opatrunku, który zrobiłem, poczem go odesłano do zakładu prof. Bujwida. Świnia uległa wodowstrętowi, o ile mogłem obliczyć, w czterdzieści kilka dni później.

62. Dnia 24. marca w sąsiedniej Sarnikom wsi Łany wpadł lis na podwórze proboszcza tamtejszego ks. Sochackiego. Syn tegoż, uczeń gimnazyalny, pogonił za nim, dopadł i udusił założonym mu na kark paskiem, ale przy szamotaniu się z nim odniósł rany na rękach. Lisa, którego mi zaraz przysłano, oddałem do starostwa w Bóbrce, celem przeprowadzenia na nim sekcyi, ewentualnie odesłania go do szczepień rozpoznawczych. Sochacki pojechał zaraz do zakładu krakowskiego, poddać się przepisanemu leczeniu i podobnie, jak poprzedni Kimiak, wyszedł szczęśliwie z tej przygody.

Równocześnie z nim leczono i p. Hałubiaka, prawnika, który był także przy tem polowaniu „par force" w Łanach. Wprawdzie lis nie pokąsał go, ale powalał mu śliną ręce, które były pokryte drobnemi rankami,

a więc stanowiły otwarte wrota, któremi jad mógł się do ustroju dostać bez trudności.

63. W pierwszych dniach marca znalazł gajowy w Pikułowicach, pow. Lwów, lisa nieżywego, tuż obok jam. Wygląd jego był bardzo lichy, tj. mocno wynędzniały. (Maryan Korwin.)

64. Dnia 2. kwietnia została żona gajowego z Pikułowic wywabiona z chaty krzykiem kur; wyszedłszy, zobaczyła tuż przed domem lisa z rozwartym pyskiem i wywieszonym językiem, rozglądającego się leniwie na wszystkie strony. Nie tracąc czasu, porwała tykę i dobrze wymierzonym razem lisa zabiła. Była to suka silnie wychudzona i jak sekcya wykazała, szczenna. Zawartość żołądka, składająca się wyłącznie z własnych zdaje się kudłów, grudek ziemi i zgryzionych kawałeczków drzewa, wskazuje aż nadto, że uległa nie innej chorobie, tylko wściekliźnie. (Maryan Korwin.)

65. Wedle spostrzeżeń p. Aleksandra Weissmana ze Starzysk, pow. Gródek, już w grudniu 1900 znaleziono lisa nieżywego niedaleko wsi.

66. W tymże miesiącu znaleziono nieżywego lisa w lesie.

67. Także w grudniu zabili włościanie kołami we wsi lisa, który rzucał się na ludzi.

68. W styczniu 1901 nadleśniczy p. Weissmana p, Frey, dobił chorego, ledwo wlokącego się lisa.

C. d. n.



Aklimatyzowane zwierzęta łowne.

Napisał St. M.

Ciąg dalszy.

Bażant znosi doskonale nasz klimat i wobec tego, że szkody przez niego w zasiewach czynione nie są wielkie, a zupełnie równoważą się z pożytkiem, jaki przedstawia przez niszczenie bardzo wielkiej ilości gąsienic, chrząszczów i innych szkodników — należałoby jego aklimatyzacyi więcej poświęcić uwagi. Bażant ma znakomicie funkcyonujące organa do trawienia — w pierwszym rzędzie potężny, kulisty wól, następnie żołądek z dwóch komor złożony, i te narządy pozwalają mu nawet na strawienie ślimaków ze skorupą połykanych. Koło r. 1870 zastrzelono pod Strassburgiem bażanta, w którego wolu znalazło się 126 małych ślimaczków. Były one jeszcze żywe i po rozcięciu wola zaczęły żwawo posuwać się po stole. W wolu innego bażanta znaleziono około 1200 szkodników zbożowych, obok bardzo małej ilości roślinnych części. Bażanty nie gardzą także mięsnem pożywieniem i tak np. bardzo często zjadają glisty, jaszczurki, a nawet myszy, przy których połykaniu często nawet się duszą.

W ostatnich czasach zwrócono więcej uwagi, szczególnej w Austro-Węgrzech, na hodowlę bażantów w wolnych rewirach, to jest w stanie dzikim, w przeciwstawieniu do jego hodowli w bażantarniach — i hodowla taka znakomita przynosi rezultaty. Jest też ona, zdaniem naszem, jedynie racyonalną. Bażant dziko chowany daje więcej przyjemności przy polowaniu na niego, niż bażant prawie oswojony, którego chowa się w bażantarniach.

Przy chowie bażantów w dzikim stanie, mówi Cronau w swojem dokonałem dziele, a więc w rewirze, w którym bażant żyje w zupełnej wolności, rozmnaża się i stale utrzymuje, musi się uwzględniać ściśle naturalne potrzeby tego ptaka łownego, coraz większego znaczenia nabierającego. Warunki należytego rozwoju tej zwierzyny są następujące: odpowiednia miejscowość, podawanie bażantom stale, albo przez pewną część roku należytej karmy, opieka nad nimi szczególniej w kierunku ochrony przed szkodnikami wszelkiego rodzaju. Kwestya pożywienia i utrzymania musi być regulowana z uwzględnieniem potrzeb bażanta w dzikim stanie żyjącego — pożywienie to musi mieć zatem bażant w takiej ilości w rewirze i w takiej jakości, w takiej rozmaitości, żeby nie potrzebował z rewiru emigrować. Rewir powinien zatem dawać bażantom różnorodne pożywienie, wodę, żwir i piasek — a jeżeli tych przedmiotów w rewirze stale lub w niektórych porach roku brak, należy mu ich z całą starannością dostarczać. Bażant jest, jak wyżej powiedzieliśmy, wszystkożercą — potrzebuje on nietylko roślinnego i zwierzęcego pokarmu, ale także ziarna, nasion, jagód i owoców — prosperuje on tem lepiej, im stół jego jest obficiej i różnorodniej zastawiony. Na wiosnę zjada on pączki i listki zbóż, traw i ziół, jagody wszelkiego rodzaju obok robaków, ślimaków, chrząszczów — i to stanowi najważniejszą część jego pożywienia, oprócz tego nie gardzi małemi zwierzętami, jak żabami, myszami, jaszczurkami. W jesieni, gdy już natura zaczyna skąpić z wyliczonymi wyżej przysmakami, przychodzi kolej na zboża, a więc na pszenicę, jęczmień i hreczkę, kukurudzę, jagody jesienne, nawet orzechy laskowe.

W zimie ogranicza się pożywienie bażanta obok wyjątkowo znalezionych roślinnych i zwierzęcych części, na karmę ludzką ręką podaną, z którą skąpić się nie powinno. Oprócz tego należy pamiętać o wodzie i o piasku, w którym bażanty paprać się lubią, jak również o żwirze, który połykają dla ułatwienia trawienia. Wody szczególnej nie powinno braknąć, pomimo ogólnego twierdzenia, że bażant jej nie potrzebuje. Najlepszem rozwiązaniem kwestyi wodnej będzie przepływający przez rewir strumyk — gdy go brakuje, musi się ustawiać korytka z wodą niedaleko miejsc, w których się podaje karmę. W zimie, gdy mroźno, tem bardziej się o wodzie pamiętać winno, gdyż bażant spożywa wtedy po największej części suche pożywienie, które nie daje tej wilgoci, jaką ma pożywienie letnie, złożone z traw, pączków i owadów. Fakt, że w rewirach, gęsto przez bażanty zamieszkałych, znajdują się ścieżki, wydeptane przez bażanty ku wodzie, które nawet ułatwiają zadanie szkodnikom i kłusownikom, jest dostatecznym dowodem, że bażant wody koniecznie potrzebuje.

Ściśle ze sprawą pożywienia związana jest sprawa bezpieczeństwa bażanta i opieki nad nim. Ziemia urodzajna, sprzyjająca rozwojowi traw i ziół, porosła krzewami, dającymi jagody, w pierwszym rzędzie jałowcem, następnie borówkami i malinami, z tu i owdzie wyra-

stającem większem drzewem, daje bażantowi najlepsze miejsce schronienia przed szkodnikami. Najmilsze mu są drzewa liściowe, w braku tych mogą je zastąpić szpilkowe. Polanki można zasiać trzechletniemi i pięcioletniemi roślinami — uprawne pola wewnątrz rewiru są bardzo pożądane — bażanty odwiedzają je najchętniej rano i wieczorem i znajdują tam obfite pożywienie w owadach i w razie konieczności w samem ziarnie. Takie pola jednak kryją w sobie to niebezpieczeństwo, że bażanty używają ich chętnie celem ułożenia gniazda — jeżeli dzieje się to w zbożu, które zbierane bywa już po wyjściu młodych z jaj, wybór ten nie jest szkodliwy — jeżeli jednak znosi się bażancica na łąkach lub w koniczynie, wtedy może być całe zniesienie na szkodę narażone. Jeżeli w rewirze, w którym myślimy zaprowadzić bażanty, brak jest krzaków i polanek, to musi się pierwsze zasadzić, drugie sztucznie urządzić. Krzaki potrzebne są bażantom jako ochrona przed drapieżnikami. Urządzenie remiz jest bardzo pożądane — do zasiania takich przeznaczonych na remizy kawałków można użyć rozmaitych gatunków zboża, jako to jęczmienia, pszenicy, owsa, hreczki itp. Oczywiście nie zbiera się tych plonów, zostają one przez zimę i dają bażantowi schronienie, a zarazem pożywienie. Miejsce na podawanie karmy musi być także bardzo troskliwie wyszukane. Najlepiej urządzać je w środku rewiru u stóp większych drzew. Sześć do ośm metrów kwadratowych należy oczyścić i pokryć lekkim dachem, umieszczonym na podporach, który chronić będzie dawane pożywienie przed deszczami i śniegiem. Dach może być zrobiony z chrustu, lepiej jednak ze słomy, bo taki dach lepiej chroni przed deszczem. Jednę stronę tej szopy należy obić deskami aż pod sam daszek tj. na wysokość jednego do półtora metrów. Do tego miejsca, które powinno być zaopatrzone w wodę i w piasek do paprania się, powinno się pourządzać ścieżki, szerokie na 25 cm., które powinny być posypane nie wielką ilością ziarna, celem pokazania bażantom drogi do karmy. Dawać powinno się szczególniej jęczmień, kukurudzę, hreczkę — owies jest mniej dobry.

Wielkość rewiru może być rozmaitą — już niewielki obszar wystarcza, jeżeli wszystkie warunki terenu odpowiadają bażantowi i jeżeli nie są blisko granicy sąsiada, tak, żeby była obawa, że bażanty do niego się wyniosą. Remizy obszerniejsze, jakich najwięcej jest w Austro-Węgrach i na pruskim Śląsku są niewątpliwie lepsze, ale i małe rewiry, jeżeli tylko troskliwie strzeże się ich od tego, żeby bażanty nie były przynajmniej w początkach zbytnio niepokojone, zrobią swoje. Oczywiście rewiry położone w pobliżu wsi lub miasta sa więcej narażone na odwiedziny psów i kotów, nie licząc już amatorów zwierzyny, na dwóch nogach chodzących, którzy oczywiście największe szkody poczynić mogą.

Chociaż teren nie koniecznie rozstrzyga o powodzeniu dzikiej bażantarni, to jednak teren pagórkowaty, z rozrzuconemi po nim łączkami i krzakami najwięcej się na bażantarnię nadaje. Bażant żyć będzie wszędzie, jeżeli tylko ma odpowiednie pożywienie i inne warunki, na równi, na terenie falistym, nawet w górach. Nieurodzajny grunt z nikłemi trawami, albo z suchem podziemiem, nie nadaje się bażantom, podczas gdy urodzajna ziemia, nawet na znacznej wysokości, nawet o klimacie ostrym, będzie bardzo dobra dla chowu bażantów, jak tego dowiodły rozliczne przykłady. Przy mniej pomyślnych klimatycznych stosunkach będzie bażant tylko wzrostem mniejszy, (podobnie jak np. kuropatwy górskie), ale rozmnażać się będzie całkiem prawidłowo.

Pomimo tego, że bażantowi da się ochronę przez zasadzenie w rewirze krzaków, lub w ogóle przez wybór odpowiedniego w tym kierunku rewiru, to jednak konieczną jest bardzo energiczna walka przeciwko czworonożnym i upierzonym szkodnikom, które bez litości tępić należy. Szczególniej musi się walczyć przeciwko czworonożnym drapieżcom — bażant bowiem gnieździ się, oprócz bardzo nielicznych wyjątków, na ziemi — daje zatem sposobność lisom i borsukom, psom i kotom do łatwej zdobyczy. Jaki wywiera wpływ na rozmnożenie bażantów nadmiar szkodników, dowodem Szwecya i Norwegia, gdzie pomimo wszelkich starań bażanty z powodu ogromnej ilości szkodników rozmnożyć się nie dają.

Rzecz oczywista, że im większy rewir dla bażantów przeznaczony i im większa ich liczba, tem mniejsze niebezpieczeństwo degeneracyi z powodu braku świeżej krwi. Dla mniejszych rewirów należy od czasu do czasu sprowadzać świeże egzemplarze bażantów celem odświeżenia krwi. Oczywista rzecz, że przy takiem sprowadzaniu należy uważać bardzo na źródło, skąd się bażanty bierze, gdyż słabe bażanty, chowane jak kury domowe, przyczynią się na pewne do upadku stanu bażantów w rewirze. Powinno się także na to uważać, żeby bażanty sprowadzać z takiej okolicy, która ma podobne stosunki klimaty zne. Nie należy sprowadzać bażantów z okolicy, w której są lasy szpilkowe do rewiru z drzewami liściastymi — z dolin w góry i odwrotnie. Nagłe przeniesienie do innych warunków klimatycznych i terenowych zawsze jest szkodliwe — a szkoda objawia się w tem, że bażanty takie o dużo wolniej przyzwyczajają się do nowych warunków, co na rozmnażanie się ich ujemny wywiera skutek. Nie chodzi tu o gatunek bażantów, bo w wielu okolicach Europy nie istnieje już czysta rasa właściwego bażanta łownego, tylko mieszańce z bażantami z gatunku *Ph. torquatus* lub *versicolor* — chodzi tylko o to, aby wybrane egzemplarze były silne i wytrzymałe.

Sprowadzonych bażantów nie powinno się zaraz puszczać do rewiru. Bażanty są zmęczone całą procedurą łapania i podróży, podczas której, jak wiadomo, nie tykają ani jedzenia ani wody i wypuszczenie takich osłabionych ptaków w nowe warunki im nieznane jest niebezpieczne dla dalszych wyników hodowli. Powinno się zatem przechowywać sprowadzone bażanty przez jakiś czas w zamknięciu, na wolnem powietrzu, przyczem górną część ptaszarni stanowić powinna sieć o szerokich okach, inaczej bowiem bażanty wzlatując w górę ranią sobie głowę (np. jak piękne bażanty, które figurowały na tegorocznej wystawie drobiu). Klatki te powinny się znajdować w środku rewiru, dla którego bażanty są przeznaczone. Przyzwyczaiwszy się do miejsca, pozostają bażanty po wypuszczeniu w rewirze, i wracają często do klatki, w której dostawały pożywienie. Dla 20 ptaków wystarczy ptaszarnia o 4 m. szerokości, a 6 m. długości. Klatka powinna mieć dwoje drzwi, jedne od strony wąskiej, w bliskości miejsca przeznaczonego na pomieszczenie karmy, drugie w środku długiego boku, i te służą tylko do wypuszczenia bażantów. Trzymać

bażanty w izbie jest rzeczą niebezpieczną — twarda podłoga, okna stanowią tem większe niebezpieczeństwo dla więźnia, im jest lepszym materyałem, tj. im jest dzikszym.

Wypuszcza się bażanty z tego schronienia wtedy, gdy się widzi wyraźnie, że odpoczęły sobie po trudach podróży, co łatwo poznać po żywości ruchów i czystości upierzenia.

Bażantarnia dzika powinna mieć jeszcze inne urządzenie, a mianowicie klatki, dla odchowywania młodych bażantów, wylęgłych z jaj znalezionych lub sprowadzonych. Urządzenie to jest bardzo proste, podobne do wyżej opisanej klatki — z tą różnicą, że klatki te są większe niż tamte, służą bowiem do dłuższego przetrzymywania bażantów w swoich ścianach.

Można także w takich klatkach trzymać całą rodzinę bażancią, przeznaczoną do hodowli. W takim razie wpuszcza się do klatki 5 lub 6 kur i jednego koguta. Klatka dla takiej rodziny powinna mieć około 40 metr. kwadr. Jeżeliby się chciało wpuścić 2 koguty i odpowiednią ilość kur, musi mieć klatka podwójny obszar. Zamiast wielkiej jednej klatki, lepiej jest w danym razie urządzić dwie mniejsze, dla każdej rodziny jednę. Wysokość ścian klatki powinna mieć 2·5 m. Do tych klatek wpuszczonym bażantom obcina się lotki przy jednem skrzydle, co nie pozwala im ulecić z klatki, która nie ma z wierzchu żadnego pokrycia. Ucięcie lotek jest lepsze niż podcięcie ścięgna w skrzydle, gdyż lotki odrosną i ptak w jesieni jest zdolnym do latania.

Francuz Galichet, właściciel sławnej bażantarni „Meriel“, jest twórcą tego pomysłu, który okazał się bardzo racyonalnym i praktycznym.

Zarobił on sobie na wielkie uznanie, a Cronau twierdzi, że to co Galichet u siebie wprowadził może być w odpowiedniej mierze zastosowane do każdej dzikiej bażantarni. Bażantarnia Meriel jest według jego zdania jedyną, która przy hodowli bażantów ma na względzie przyszłość potomstwa bażanciego. Galichet stworzył 400 przegród, z których każda zajmuje przeszło 500 metr. kwadr. i które to przegrody, wprawdzie kosztownie, ale w każdym razie zyskownie urządzone, umożliwiają mu hodowlę bażantów, z zastosowaniem wszystkiego, co zwierzyna ta ma na wolności. W tych warunkach wychowane bażanty odpowiadają wszystkim słusznym wymaganiom, niosą się należycie, tak jak na wolności i dają doskonały materyał do odświeżenia krwi. Cel, jaki Galichet miał przed oczyma, a mianowicie, żeby warunki życia bażantów upodobnić jak najwięcej do naturalnych warunków, kazał mu wyrugować wszelkie sztuczne wylęgarnie i inne podobne środki i zerwać z dotychczasową tradycyą wychowywania bażantów jak kurczęta na rożen przeznaczone. Metoda hodowli jest więc całkowicie do naturalnych warunków zastosowana, każdy bażant daje to, coby dał na wolności bez ludzkiej pomocy. Zapłodnienie jaj nie pozostawia nic do życzenia, nie zapłodnione jaja należą do rzadkości, nie ma poduszonych piskląt, nie ma chorób i owych niecnot, jak np. niszczenia jaj przez matkę itp. W ten sposób wychowana młodzież jest silną, wytrwałą, doskonale rośnie i rozwija się. Metoda Galicheta, jedyna w swoim rodzaju, zapewnia pomyślne wyniki i daje wielkiej ilości bażantarń materyał rozpłodowy w najlepszym gatunku, czy to w postaci dorosłych egzemplarzy, czy też w postaci jaj, a nawet całych rodzin, tj. matki z pisklętami. Ten ostatni sposób najlepiej służy ku temu, żeby się bażanty do swojego nowego miejsca przeznaczenia przyzwyczaiły. Kurczęta w 24—36 godzin po wykłuciu się odbywają wraz z matką podróż i przybywają na miejsce przeznaczenia w jak najlepszym stanie, w jakim żaden dorosły bażant nie przybywa, i to nawet po podróży trwającej 20 do 25 godzin. Galichet zaopatruje w ten sposób bażantarnie bardzo odległych departamentów ze znakomitym skutkiem.

Z równym entuzyazmem, jak Cronau w swojem znakomitem dziele o bażańcie, opisuje E. Leroy bażantarnię Meriel w dziele swojem *„Repeuplement des chasses“*.

Opis ten jest tak zajmujący, że podajemy go tu w całości.

Nadzwyczajny ten zakład, pisze p. Leroy, zrobił na mnie wrażenie, że jestto jakby żywa manifestacya „d' une idée en marche“, jakoby żywe zaprzeczenie wszelkim dotychczasowym doktrynom i metodom dotychczas wyznawanym w dziedzinie hodowli lotnej zwierzyny. Przyznaję, że tych kilka słów może na mnie sprowadzić zarzut przesady, ale mam nadzieję, że zarzut ten po wysłuchaniu mnie upadnie. Jeżeli potem powie kto o mnie, że przesadzam, przyjmę każdy zarzut z pokorą. Skonstatujmy najprzód fakt zupełnie nie banalny, a mianowicie, że bażantarnia ta w czerwcu i lipcu, na podstawie procederu specyalnie przez nią zastosowanego, oddaje w handel całe pokolenia bażantów i kuropatw wraz z ich rodzicami dzikimi. Ujarzmienie przez ludzką wolę instynktów niepodległości tych dzikich reproduktorów, uważane dotychczas za niemożebne do wykonania, tutaj się udaje z reguły — ptaki łapie się bez ich uszkodzenia, wysyła koleją, osadza w owych klatkach, o których wyżej według Cronau'a pisaliśmy — a potem, gdy mają już rodzinę, z całą tą rodziną osadza się je w rewirze i to z całą precyzyą na tem miejscu, na którem sobie tego życzymy.

Pewność siebie w tem pokonywaniu i zużytkowywaniu tajemnic natury jest taka u Galicheta, że ogłoszenia o młodych pokoleniach tak opiewają: „Dwanaście piskląt bażańcich, z matką, która je wysiedziała i wyprowadziła“ — „18 piskląt kuropatwich wraz z parą ich reproduktorów, którzy je wysiedzieli i wyprowadzili“ — itp. Szczytem wszystkiego jest ogłoszenie: 18 piskląt kuropatw czerwonych i para kuropatw szarych — kura wysiedziała te pisklęta z pomocą fortelu i jest tak do nich przywiązana, jak do swoich własnych“. Pokazuje się z tego, że widocznie dotychczas nie znaleziono sposobu do zmuszania dzikiej kuropatwy czerwonej, ażeby wysiadywała jaja w takiem ogrodzeniu i że musiano się zwrócić z tem do kuropatwy szarej, jak wiadomo bardzo zawsze dzikiej, która jednak łatwiej da się podporządkować woli ludzkiej i przyzwyczaja się prędzej do wyznaczonego jej terenu.

C. d. n.



Foxterrier jako pies łowiecki.

Foxterriery, są to psy zbytkowe, które dla swych znamienitych, czysto łowieckich przymiotów znalazły między myśliwymi licznych zwolenników, tem dziwniejszą rzeczą jest zatem, że przymioty te nie dostąpiły ani w połowie uznania, na które zasługują i że psów tych rzadko używamy przy łowach. Co więcej należy skonstatować, że istnieją myśliwi, którzy wprost lękają się uznać przymioty rasie foxterrierów właściwe, by ich nie poczytano za niewczesnych nowatorów i krzywdzicieli taką wszechstronną sławę posiadających jamników.

Znaczy to tyle, co: nie potrzebujemy foxterriera, gdyż mamy jamnika, który w obec lisa i borsuka spełnia wszystko to, czego sobie hodowca pożytecznej zwierzyny życzyć może. Zapatrywanie to nie wytrzyma krytyki już z tego powodu, że istnieją inne rodzaje drapieżników, którym jamnik nic zrobić nie może, które atoli są dla polowania, względnie dla chowu wszystkich gatunków dzikiej, czy to pierzem czy siercią pokrytej zwierzyny, należącej do małych, a w części do wyższych łowów — nie mniej groźne od borsuka i lisa.

Cóż może w obec kuny, łasicy lub tchórza zdziałać jamnik w porównaniu z foxterrierem, który w mgnieniu oka i zaciekle rzuca się na każdego z tych drapieżników. Dzięki swemu wiatrowi, ciętości, całej jego rasie właściwej, inteligencyi i giętkości ciała, która pozwala mu mimo znacznie wyższych nóg, niż u jamnika, wcisnąć się w każdą lisią i borsuczą norę, wyświadcza tu w norze co najmniej te same usługi, co jamnik; odszczególnia się tem, że służy dobrze również na powierzchni ziemi jako wytrwały, pełen zamiłowania towarzysz łowów. W końcu można foxterriera używać ze skutkiem we wodzie — co się okazało, gdy foxterierów użyto w miejsce t. z. „otterhounds“, (psów służących do polowania na wydry) nie mówiąc już o innych rodzajach polowania na ptactwo wodne, przy których racyonalna tresura, może wysoko rozwinąć wrodzone foxterrierowi przymioty. Jeżeli spytamy o zdolności foxteriera na punkcie tropienia, to odpowiedź wypadnie nadzwyczaj dlań pochlebnie. Wprawdzie zarzucają mu niektórzy myśliwi zbytnią porywczość, inni natomiast wymieniają tę porywczość jako zaletę, która pozwala jednemu i temu samemu psu dać równocześnie kilku, na różnych stanowiskach znajdującym się myśliwym, sposobność do strzału. Przytem nie zachodzi obawa, by który z gorętszych myśliwych, miasto oczekiwanej zwierzyny postrzelił foxterriera, co bardzo często zdarza się przy polowaniu z jamnikiem, dla barwy jego sierci, którą wśród krzaków i zarośli trudno rozeznać.

Przysługi nie do uwierzenia oddaje foxterrier w śledzeniu tropu lisa i borsuka, a jeszcze większe w śledzeniu tropu kuny i tchórza. Zachowanie się jego w obec tych dwojga drapieżników i w obec kuny lesnej, która obiera swe legowiska w rurach drenowych i przepustach, jest wprost mistrzowskie. Wypędza je z nory, osadza je i zagryza. Ktokolwiek choćby raz jeden miał sposobność obejść w towarzystwie foxterriera swój rewir, a przytem zwrócił uwagę na tuż przed nim tropiącego, a po wyśledzeniu tropu, z nosem tuż przy ziemi trop trzymającego psa, wśród oznak niezwykłego ożywienia, ten zacznie cenić właściwe tej rasie zdolności, różnorodne i liczne świadczone przez niego usługi, a skutkiem tego chcąc nie chcąc — przeniesie foxterriera nad jamnika.

A jak się spisuje foxterrier w norze, w której poczuł borsuka, lub lisa! Raz zwietrzywszy jednego z tych drapieżników, przeszukuje jednę jamę po drugiej z taką szybkością, z jaką lis lub borsuk przez nie się przemyka, naszczekując równocześnie, by oczekujący przed norą myśliwy, skupił uwagę. Jeżeli lis nie chce się dać wypędzić, wtedy rzuca się nań, i bardzo rzadko się zdarza, by nie zdołał pokonanego lisa wywlec z nory. Słabnące, względnie wzrastające naszczekiwanie daje znać o przebiegu walki i o stopniu jej zaciętości. Rozumie się, że jeżeli chodzi o borsuka, ma foxterrier zadanie nie lada. Lecz im dzielniej borsuczysko się broni, tem zaciekléj dobiera mu się foxterrier do skóry, a jeżeli raz dopadnie szyi, którą borsuk starannie chroni lecz czasem odsłonić musi — wtedy przepadł borsuk bez ratunku.



Korespondencye.

Nuszcze, 10. czerwca 1902.

Niezwykli goście, czyli skutki zawartego pokoju Anglików z Boerami.

Dnia wczorajszego, jadąc konno ku dworowi, spostrzegłem naraz na polu grupę jakichś zwierząt. Zbliżywszy się i przetarłszy dobrze oczy, (była mgła), zobaczyłem ze zdziwieniem dwie grupy sępów — w jednej 6 sztuk, a w drugiej 4 sztuki, razem 10 sztuk. Było płowych (Vultur fulvus) 6 sztuk, zaś 4 sztuki kasztanowatych (Vultur cinereus). Można sobie wyobrazić moje zdziwienie i osłupienie. Niedaleko ludzie kopali pod kapustę, i dwóch chłopców pędem przybiega do mnie z zapytaniem: „Pane, a to szczo za bida?“ Ja bojąc się, by mi chłopi sępów nie spłoszyli, nakazałem, by się do nich nie zbliżali, bo „tiji ptaki ludy kusajut“. To najlepiej poskutkowało, bo się żaden chłop do sępów nie zbliżał — tylko oglądali się z trwogą, czy ich straszny ptak za kark „ne bere“. Była to jednak kwestya minuty, bo do dworu niedaleko, dałem koniowi trzciną po bokach, i byłem za chwilę we dworze. Wpadam jak nieprzytomny do pokoju i zastaję p. Klemensa Weissmanna-Zawidowskiego, właściciela Nuszcza, zebranego do kolei. Na szczęście jeszcze godzina czasu — na mój krzyk, że tuż niedalego są sępy, dziedzic chwyta ekspres, mnie daje swoją strzelbę, a wziąwszy p. G. w pięć minut jesteśmy na wózku i pędzimy na miejsce, gdzie sępy odpoczywają. Zdaleka już je widać, dojeżdżamy, pola zasiane, wyprzęgamy konie, chłopi biorą konie, a my podzieleni na dwie grupy podchodzimy je za końmi. Zaraz jedna grupa oddalona od nas na 300 kro-

ków (6 sztuk) ulatuje, druga grupa 4 sztuki na 150 kroków zaczyna się ruszać — nie ma czasu do stracenia — p. Weissmann strzela z ekspresa i kładzie jedną sztukę, łamiąc jej skrzydło — drugi raz strzelić nie mógł, bo koń się spłoszył i przeszkodził w strzelaniu. My lotkami strzeliliśmy za resztą po dwa razy, ale tylko na wiwat. Nastąpiła gonitwa za postrzelonym — przyczem zaszły różne zabawne epizody. Sztuka ubita był to sęp kasztanowaty o szerokości skrzydeł trzechmetrowej. Całe polowanie nie trwało dłużej jak 15 minut. Ciekawa rzecz skąd się one o tej porze tutaj wzięły. Nic innego, tylko że po zawarciu pokoju w Afryce nie mają co robić, a zwietrzywszy rozruchy we Lwowie ciągnęły może tam, bo głowy miały ku zachodowi zwrócone. Ale nasza zasługa, żeśmy dalszą wędrówkę im udaremnili, napędzając napowrót na wschód. Sęp poszedł do wypchania, przed chłopami trudno się było opędzić, bo całemi gromadami szli „ohlidaty toho strasznoho ptaka, szczo, jak lisnyczy każe, ludy kusaje“.

Adolf Korpak
leśnik.

W y s u c z k a, 19. lipca 1902.

Rozczulony piękną powieścią o tradycyach ludu naszego, zamieszczoną w artykule najświeższego numeru pisma naszego, o tych poczciwych naszych wiejskich pieskach, tą rzewną Paranią rozpadającą się nad psiem weselem, tym Wasylem pantoflowym, dzisiaj już rzadkim okazem wśród naszego ludu, postanowiłem i ja coś nie coś napisać o tym ludzie poczciwym, a jeszcze o poczciwym jego piesku, do którego wiem, że i szanowny korespondent strzela, jak się sposobność nadarzy, bo widziano go przy tej nadarzonej sposobności.

Lud nasz, co prawda, wszystko co jest jego własnością, bardzo wysoko ceni, i pies choćby był największym nicponiem i wołokitą, ma wielką u niego wartość, bo jest jego własnością; lud nasz coraz więcej staje się pieniackim, o lada głupstwo będzie się po sądach włóczył, skarżył, procesował i nikt mu tego nie wyperswaduje, lud nasz z natury poczciwy, podżegany rozmaitymi czynnikami, coraz więcej występuje przeciw wszystkiemu, co jest nawet legalne i ustawowo nakaząne.

Lud nasz cudzej własności uszanować nie umie; on nie może tego pojąć, że drzewko posadzone przy drodze jest drogoskazem w zimie w polu, a cieniem ochronnym w letnich upałach, on nie może tego pojąć, że właściciel polowania płaci czynsz dzierżawny za prawo polowania gminnego na jego gruntach i każdy także partycypuje w braniu czynszu dzierżawnego, on nie pojmuje tego, że pies włóczący się robi szkodę jego dzierżawcy, jeszcze się stała krzywda, nad którą Wasyl Paraska i cała gromada rozwodzić się będą i żale swoje podawać do wiadomości czynników, korzystających z każdej sposobności, aby swoje niezadowolenie i niechęć do klasy posiadającej objawiać środkami niegodziwymi, podburzającymi całe masy.

My się wiecznie będziemy uwodzili czułostkowościami, my będziemy zawsze oglądać się na to, czy to komuś się podoba, czy nie, czy go to rozdrażni, czy nie, bez względu na to, że prawo za nami, i nie dziw, że naprzód nie idziemy, przy takiem sentymentalnem usposobieniu.

Bociana nie strzelajmy, bo on jest na obrazku na chacie Piasta wyrysowany, choćby nam wszystkie kurczęta i indyczęta z podwórza powybierał. Psa nie strzelajmy, bo to Wasylowi i Parani nieprzyjemne i mogłoby ich rozdrażnić i boli ich, choćby ten pies nieobliczone szkody nam wyrządzał. Zostawmy te czułostkowości kobietom, a my bądźmy sobą, bądźmy ludźmi, stojącymi na straży porządku społecznego, bądźmy ludźmi, których zadaniem jest nie tylko przestrzeganie tego, co od nas prawo wymaga, lecz bądźmy wychowawcami młodszej braci w tym kierunku.

Ustawę kompilują różne czynniki z woli naszej do tego powołane, skoro z woli naszej, uszanujmyż to, co nam jako obowiązujące nas nakładają; nim ustawa przez wszystkie alembiki przejdzie, jest wszechstronnie opracowaną, narzekania na to ani godziwe, ani sumienne. Przyznaję racyę szanownemu Towarzyszowi z pod sztandaru św. Huberta, że jak zawsze tak i w tym wypadku mogą być nadużycia, lecz ustawa i te przewiduje i na nie są ustawy zabraniające ich.

Gdyby lud nasz dawał psu jeść, nie goniłby pod las do ścierwa ustawionego na przynętę, by przy niem dziki i lisy wybijać, lecz jeżeli pies raz na rok i to na święta wielkanocne dostaje piszczel ze świńskiej rapety do obgryzienia, a cały rok Boży żyje łaską Opatrzności i tem co dziecku chłopskiemu z ręki wydrze lub świni z korytka podje, cóż dziwnego, że taki pies światami goni i aż natrafi na ścierwo pod lasem; do ścierwa psa nikt nie ciągnie, syty pies nie pójdzie po za dom — ile taki pies przychodzący do ścierwa pod lasem zrobił drogi w poszukiwaniu za żywnością, ile on pola przebuszował nim na ścierwo pod lasem natrafił, to można sobie wyobrazić.

A teraz nieco o znajdach.

Prawdą jest, że nas lud psa nie zabiłby (chyba ze zemsty sąsiadowi), ale też ta litość nad psem, jest powodem nieszczęść, przeprawiających o życie dziesiątki ludzi. Litość ta nad psem objawia się u ludu naszego w ten sposób: psiak odessany, nie wzięty przez żadnego z sąsiadów, zaczyna chłopkowi naszemu ciężyć, zabić go nie ma serca, a wreszcie co z nim zrobić? najprostszy sposób wybiera, oto jedzie na jarmark na targ do miasta, na praźnik do miejsca odpustowego, zabiera pieska ze sobą i zostawia go tam; psisko zgłodniałe łazi w mieście po jatkach, po śmietnikach, z głodu, z nędzy dostaje wścieklizny i włóczy się kąsając kogo może, aż go gdzieś ubiją — oto los psa chłopskiego.

Mieszkając lat kilka w Zagrobeli obok Tarnopola, przypatrywałem się z bliska tej chłopskiej litości nad psem; podczas mego pobytu w Zagrobeli w ciągu jednego roku straż moja leśna, 83 znajdów na polach i w lasach ubiła, a jednego razu, a było to w roku 1896, taki znajda pokąsał 21 ludzi, a między nimi i mego fornala; z tych jedna dziewczyna w szpitalu na wodowstręt zginęła, reszta u Dr. Bujwida ratunku szukała.

Nie uprzedzajmy się, nie przewidujmy we wszystkiem, wychodząc z politycznego punktu widzenia, krzywdy, pilnujmy sami ustaw rozumnych i starajmy się zasady te rozszerzać, aby i lud ją uszanował, a największą podwalinę położymy do społecznego umoralnie-

nia go i nie będziemy mieli sposobności ani potępienia ani bronienia go.

Bądźmy sprawiedliwi i nieubłagani i dla siebie samych, a lud widząc to w poczuciu zdrowego rozsądku umie to uszanować i nic nie sarka.

W Zagrobeli wyjeżdżam rano o godzinie 4-tej w lecie na kozła. Zbliżając się do lasu, słyszę gon psów, zabiegam drogę z moim szwagrem i kogo widzę! mego psa legawego, jamnika, i stróża pałacowego kundysa, ale że w domu mieli co jeść, więc tylko żyłka myśliwska zapędziła wszystkich do lasu, wszyscy dostali w łeb, bo za wieluby nas myśliwych w domu było. Lud to widział i nie dziwił się, jak którego pies poległ na polach Zagrobelskich; nie przeczę, że z początku były narzekania, lecz powoli przyzwyczaił się do tego i dzisiaj jest spokój i zgoda z ludem.

Z początku były historye i sarkania na wybijanie bocianów, lecz jak się ludowi powiedziało, że to szkodnik, on zaczął sam śledzić za tem i przyszedł do przekonania, że ani wrona ani sroka mu nie wybiera drobiu tylko jego najbliższy sąsiad opatrznościowy ze strzechy, sam przychodzi do dworu z wiosną i prosi by „buśka zastriłyty, bo win meni wełyku szkodu robyt“.

Co do wyżłów dworskich, czy z plebanii, czy z leśniczówki, są to psy tak znane we wsi i przez straż leśną, że żaden strażnik nie poważyłby się strzelić do takiego, lecz jak pies już idzie do trzeciej, czwartej wsi, czy na polowanie, czy na wesele, to już trudno strażnikowi pytać o legitymacyę, w jakim celu wyszedł z domu i włóczy się po cudzem terytoryum.

Ja za nosy psie obecnie nie płacę straży, daję tylko remuneracyę za piękne wyniki polowania, ona się stara, aby zwierzostan się zwiększał i sama bije psy jak tylko w polu spotka.

Był tu do niedawna zwyczaj, że każdy idący z pługiem, czy ze sapą w pole, brał psa ze sobą, obecnie zwyczaj ten ustał, bo pies w polu niepotrzebny, lud na tem traci, zapewnie, bo przybył mu jeden stołownik więcej w chacie, bo brał w pole nie w innym celu, tylko, żeby się pożywił pędrakami, myszami, młodymi zajączkami, jak sarnie młode w polu spotkał nie pogardził niem; obecnie zgodził się z koniecznością i zastosowuje się do wymogów ustawy.

Czarkowski-Golejewski.

Uszew, 19. maja 1902*)

Szanowny korespondent z Okna i szczęśliwy myśliwy, który jednym strzałem dwie wydry wyprawił na tamten świat, dziwi się, że 4 wydry ubite tam w przeciągu krótkiego czasu były samcami. Otóż parzenie się wydry odbywa się w różnych porach roku i nie jest ściśle datą oznaczone, choć przeważnie odbywa się to w lutym i marcu, a niektórzy utrzymują, że dopiero w lipcu. Sądzę więc, że nie parzenie było przyczyną zjawienia się tych 4 szkodników płci męskiej, ale po prostu to, że wydry mają zwyczaj wędrowania, i to bardzo dalekie wycieczki podejmują. Podczas tych wędrówek gromadzi się kilka sztuk i to przeważnie samców, do których czasami przyłączają się bardzo stare samice. W tym też wypadku myślę, że 4 ubite samice były na takiej wędrówce, a zasmakowawszy na rybach w Oknie, dłużej się tam zatrzymały.

A. Sumiński.

Rychcice, d. 24. lipca 1902.

Pierwszy wilk.

Że wilk staje się u nas zwierzyną coraz rzadszą, dowodem, że polując od lat 20-tu z górą, z wilkiem dopiero teraz po raz pierwszy się spotkałem, a że spotkanie to nastąpiło wśród okoliczności, dość niezwykłych, więc odwołuję się do gościnności naszego organu.

W raporcie z dnia 1-go lipca b. r. podawała mi nasza straż łowiecka w Niebyłowie, iż prawdopodobnie w tamtejszym rewirze wywiodły się wilki, w nocy bowiem słychać, jak młode wilczęta starym odpowiadają, że jednak pomimo poszukiwań, nie można zupełnie dokładnie oznaczyć miejsca, w którem przebywają. Wywodne wilki, we środku rewiru jeleniego, na trzy ledwie miesiące przed rykowiskiem, to klęska, którą tem bardziej odczułem, że z wiosną dopiero bieżącego roku, ster łowiectwa naszego w Niebyłowie objąłem. W odpowiedzi nakazałem straży łowieckiej, najdalej idące środki do przeciwdziałania groźnemu niebezpieczeństwu, polecając truciznę, żelazo lub ołów dla oswobodzenia rewiru, nakazując przytem, aby w razie strzelania, najprzód ze starymi wilkami się uporać. Po dwóch tygodniach otrzymuję wiadomość, że stara wilczyca zabita i że młode wilki stale się trzymają dwóch fachów, między 8-ką, a Majdańską drogą. Nie zwlekając pośpieszam z odsieczą do Niebyłowa. Na przyjezdnem dowiaduję się, że przy ubiciu wilczycy najbardziej nam był pomocnym czynnik, na który chyba nigdy żaden myśliwy nie liczył, a który w głębokich borach górskich raczej dla łowiectwa ujemnie działać powinien.

Syrena maszyny wiertniczej, za naftą w rewirze niebyłowskim poszukującej, okazała się niezwykłym wabikiem na wilki i każdorazowe jej odezwanie się rano o 6-tej, 12-tej i 1-szej w południe i o 6-tej wieczorem witały wilczęta głośnem wyciem, zdradzając tem samem dokładnie miejsce, w którem obległy. W pobliżu na liniach lub jelenich ścieżkach, na przesmykach ustawiała się straż nasza łowiecka licząc słusznie, że w ten sposób musi wyjść na nich wilczyca, zdążająca z powrotem ku młodym, poleciłem bowiem strzelać najprzód tylko do wilka starego lub wilczycy, a nie do młodych. I już drugiego wieczora okazała się skuteczność tej kombinacyi i 17-go b. m. matkę rodu dosięgły karzące śróty. Zaraz nazajutrz wilczęta jeszcze głośniej poczęły witać odzywanie się syreny, zdaje się, że głód pobudzał je do coraz głośniejszych koncertów, tembardziej, że i stary wilk nie przynosił im żeru, gdyż już przed kilku tygodniami postrzelono wilka w sąsiednim rewirze.

Oryentując się wyciem wilków, coraz bliżej można było je obstawiać, a one głodne, szukając za żerem, a więc ruchliwe, kolejno ukazywały się na przesmykach, na których ze strażą czatowaliśmy. Jednego dnia zginęły dwa, a dwa chybiono, drugiego dnia znowu dwa

---

*) Korespondencya ta po długiem błąkaniu się doszła dopiero teraz do Redakcyi — jest to odpowiedź na korespondencyę w Nrze z 15 maja umieszczoną.

zginęły, wszystkie strzelone przez straż łowiecką. Na ostatnie wilczę postanowiłem już sam tylko zapolować i 23-go b. m. o świcie z jednym z naszych strażników na linii C. koło 8-ki, niedaleko miejsca, gdzie wilią w nocy wilk jeszcze się odzywał, zasiadłem, oczekując wraz z godziną 6-tą trąbienia syreny. Nie potrzebowałem jednak czekać tak długo, wkrótce po piątej zawył przeciągle we środku góry podemną, widocznie głód i samotność, coraz mu bardziej ciążyły. Szybko posunąłem się ku temu miejscu, wilk zawył poraz drugi, schodzi gąszczami ku dołowi. Powziąłem plan przebiedz mu drogę, za chwilę byłem już na poprzecznym płaju, znowu się wilk odezwał, krótko, nie dalej jak o 200 kroków od płaju. Pobiegłem i stanąwszy nad parowkiem, nie miałem jeszcze czasu odsunąć klapy bezpieczeństwa przy mym Mannlicherze, gdy widzę wilka, złażącego w parów, nie dalej jak o 40 kroków. Zgarbiony, wietrzył coś po ziemi, złożyłem się, ale że był tyłem do mnie zwrócony, ze strzałem czekać musiałem. Wreszcie zrobił krok naprzód i odwróciwszy się nieco, pokazał mi łeb i kark. Grzmot strzału i wilk, z karkiem przeszytym kulą z Mannlichera, leżał spiorunowany. W ten sposób w kilku dniach całe gniazdo, złożone z wilczycy i pięciu wilcząt zostało wytępione. Wilczęta, cztery suki a jeden pies były bardzo już wyrośnięte — mój wilk n. p. mierzył, wyciągnięty, od łap zadnich do końca trąby metr i 60 ctm.. Że wrogi głód dokuczał ostatnim wilczętom, dowód, że w ich żołądku znaleźliśmy tylko żaby i trawę. 23-go po południu opuszczałem rewiry niebyłowskie z nadzieją, że jelenie, uwolnione od strasznych wrogów, znowu niedługo powrócą do swych ostoi, nadmienić bowiem muszę, że w całej tej części rewiru, w której wilki przebywały i tropu jeleniego nie spotkałem.

J. A. hr. Bielski.

Stanisławów, w lipcu 1902.

Daremnem byłoby opisywać, jakiemi wrażeniami darzy myśliwego polowanie na głuszcze na toku. Tego roku pierwszy raz mi losy pozwoliły brać udział i to bardzo szczęśliwy w tem polowaniu, nic więc dziwnego, że zaraz po powrocie kusiło mnie to, żeby mojego „pierwszego głuszca“ przekazać potomności z pomocą farby drukarskiej, powstrzymywała mnie jednak od tego myśl, że nie potrafię tego epizodu tak opisać, jak odczułem. Przerzuciłem więc po powrocie kilka roczników naszego kochanego „*Łowca*“ i przeczytałem na nowo od deski do deski piękne obrazki tych prawdziwych godów myśliwskich, niedawno przez pp. Potockiego, Sumińskiego i Łubieńskiego, a dawniej jeszcze przez myśliwego-poetę, hr. Starzeńskiego nakreślonych. Dopiero teraz jeszcze lepiej odczułem, jak one są prawdziwe. Rozczytałem się i dalej w literaturze polowania na toku na głuszce i spostrzegłszy w jednem z pism łowieckich artykuł o opiece nad głuszcami w rewirze, postanowiłem podać kilka uwag z niego do wiadomości czytelników, tem bardziej, że w ten sposób spełniam zarazem miły obowiązek zasilenia „*Łowca*“ korespondecyą, których ma prawo od nas wymagać. W ten sposób obchodzę uroczyście zabicie mojego pierwszego głuszca. Uderzyło mnie to, że w statystycznych wykazach zabitej zwierzyny w innych krajach austryackich liczba zabitych głuszczów w jednym powiecie przewyższa znacznie ilość zabitych głuszców w całej Galicyi. W r. 1898 zabito np. w Styryi 1950 głuszców, podczas gdy w Galicyi aż 36! Ależ tam, jak można wyczytać z ich pism, tam nie uważają głuszca za zupełnie „dziką“ zwierzynę, to znaczy za taką, którą nawet nie ma się co opiekować, tylko strzelać, gdy pod lufę podpadnie. Tam się nią opiekują, tam nawet w najwyżej położonych rewirach nie zaniedbują podawać w zimie karmy, a szkodniki tępią bez litości. Posłuchajmy co pisze jeden z leśników styryjskich.

„Zanim przedsięweźmiemy jakikolwiek krok, prowadzący do rozszerzenia, względnie przywrócenia, podupadłego z jakichkolwiek powodów stanu głuszców i jeżeli w ogóle krok ten ma przynieść korzystne wyniki, musimy znać dokładnie warunki, sprzyjające rozwojowi głuszców, we wszystkich szczegółach. Rozumie się, że także z biologią tych tetraonów musimy być jak najdokładniej obeznani. Głuszec wyszczególnia wprawdzie przedewszystkiem lasy leżące w górach, lecz również przebywa chętnie — jak tego szybkie rozszerzanie się głuszca we Węgrzech dowodzi — w lesistych przedgórzach, a nawet w lasach wśród płaszczyzn (np. u nas Rozwadów, a dalej Polesie, Litwa — p. a.). W lasach górskich przebywa głuszec najchętniej w rewirach, o mięszanym drzewostanie; szuka jednak schronienia także w czysto szpilkowym lesie. W każdym razie jednak odszczególnia w lesie jakiegokolwiek rodzaju te części, które są gęsto zalesione i w których są strumyki o dnie żwirowatem. To są główne warunki dla rozwoju głuszcza — które muszą zachodzić, by mogła być mowa o przedsięwzięciu środków i sposobów, mających na celu bezpośredni chów tego ptaka. Tak więc wedle tego, cośmy dopiero napisali — musimy się starać o liczne odpływy wody w rewirze przygotowanym dla głuszca. Odpływy te mają odprowadzać czystą wodę po żwirowatem dnie.

Karma, którą głuszec stosownie do pory roku chętnie spożywa, składa się: z nasienia drzew iglastych, żołędzi, bukwi, wszystkich rodzajów jagód, owadów, glist, ślimaków, pączków i liści; w zimie, w braku innego pożywienia także z igieł sosnowych i z żywicznych pędów drzew iglastych.

Kto chce przezimować głuszce, bez uszczerbku dla ich stanu, winien postarać się o zapasy jagód, jarzębiny i borówek i podawać je obficie, szczególniej w czasie zasp śnieżnych, kiedy grzebanie jest utrudnione. W ten sposób uchroni również od uszkodzenia młody szpilkowy drzewostan — którego młode, żywiczne pędy i pęki ogryzają te ptaki. Dobrze wysuszone i wolne zupełnie od pleśni jagody, sypie się na miejscach, leżących bezpośrednio przy korycie, odwiedzanym przez głuszce. Koryto to odwiedzają kuraki te nie tyle, by się przy niem napoić, lecz raczej po to, by w niem wyszukiwać kamyczków tz. żołądkowych, właśnie dlatego też je w żołądkach tych ptaków odnajdujemy nieraz w znacznych ilościach. Również wygadzamy głuszcom, gdy podajemy im jako karmę, rozdrobione szyszki sosnowe i nasiona tych drzew — o co się łatwo można postarać. Powtarzamy jednak to, cośmy wyżej wymienili, że jako paszę należy podawać głównie jagody jarzębiny, dobrze wysuszone. Mają one wielką wartość odżywczą dla zwie-

rzyny w ogólności, w szczególności zaś dla głuszczów. Ze względu na wielką zawartość gronowego cukru głuszce wygrzebują z pod śniegu zaledwie dostrzegalne zasuszone jagody innych rodzajów i spożywają je jako paszę, wielce przez nich pożądaną. Drugą główną wskazówką przy chowie głuszców jest możliwe zmniejszanie stanu wszelkich szkodników, w szczególności lisów, one bowiem są głównym wrogiem młodych głuszców i zarodu, gdyż jeden jedyny lis może sprawić w chowie głuszców prawdziwe spustoszenie. Stare głuszce natomiast są wystawione na prześladowanie ze strony kun, łasic i tchórzów, wreszcie sokołów wszelkich odmian, zatem jest szereg tych rabusiów tak znaczny, że nawet najtroskliwszy hodowca będzie się musiał uciekać do żelaza i łapek.

Pomnożenie stanu głuszców w sztuczny sposób wymaga wielu i znacznych nakładów i prowadzi rzadko a w każdym razie bardzo powoli do upragnionego celu, dlatego pomnożenie to może tylko tam mieć miejsce — gdzie te nakłady nie robią hodowcy żadnego uszczerbku. Środek wymieniony w pierwszym rzędzie — jest pewniejszy i przyniósł już we wielu miejscach pomyślne wyniki, dlatego też radzimy każdemu hodowcy — któryby miał pewne wątpliwości co do przytoczonych warunków dla utrzymania, pomnożenia i rozszerzenia stanu głuszców — by się tylko do podanych warunków ograniczył, z drugiej strony jednak, by im jak najskrupulatniej uczynił zadość. Im więcej będzie hodowca starał się o zapewnienie rewirowi spokoju — tem pomyślniejsze osiągnie rezultaty i może w końcu doprowadzić do tego, że rewir jego będzie środowiskiem rozległego — wzorowo zaprowadzonego rewiru głuszców — co jako szczyt chowu zwierzyny może być poczytanem.

Gdyby tak nasi właściciele rozległych terenów górskich, a więc po większej części kamera, zechcieli wziąć pod uwagę te słowa, co za prześliczne rewiry mogłyby być u n nas. *S.*



Sprawy Towarzystwa.



Posiedzenie Wydziału z d. 25 lipca 1902. Obecni, Prezes: hr. St. Stadnicki, wiceprezesowie hr. Bielski iun. i p. Krogulski, członkowie pp. Boziewicz, Czeżowski, Hamerski, Goralczyk, Klusik-Orzechowski, Małaczyński, Matkowski, Miziewicz, hr. Mycielski, Nahlik. Przewodniczący, po przywitaniu Wydziału odczytuje następujące pismo:

Wysokie Prezydyum!

Jego Cesarska i Królewska Wysokość Najdostojniejszy Arcyksiążę Karol Stefan, raczył mi polecić, w Jego Najdostojniejszem Imieniu i w imieniu Syna Najdostojniejszego Arcyksięcia Karola Albrechta, wyrazić szczere podziękowanie za wybór na Członków honorowych szacownego Towarzystwa, który z przyjemnością przyjmują z zapewnieniem żywego zainteresowania się sprawami Stowarzyszenia.

Żywiec dnia 8. lipca 1902.

W wykonaniu Wysokiego polecenia:
M. Koreśnik.
arcyks. radca dworu.

Pismo to przyjmuje Wydział do wiadomości, załatwienie wszystkich dalszych formalności powierza Prezydyum — jak również sprawę wystosowania odpowiednich pism do JE. hr. Romana Potockiego i Ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego. Wobec brzmienia nowego statutu przystępuje Wydział do wyboru jednego sekretarza i uprasza p. wiceprezesa Krogulskiego, aby czynności te również objął. Zastępcą sekretarza wybrano p. Hamerskiego. Po odczytaniu protokołu z ostatniego posiedzenia zawiadamia Przewodniczący Wydział, jak została załatwioną w Komisyi administracyjnej sprawa petycyi Towarzystwa, a zarazem sprawa zmiany ustawy. (Sprawozdanie komisyi w tych sprawach podaliśmy w ostatnim numerze „*Łowca*"). W sprawie tej zabiera głos hr. Mycielski i daje bliższe wyjaśnienia w sprawie zapatrywań komisyi na wydzierżawianie polowań gminnych przez gminy. Przemawiają pp. Czeżowski, Goralczyk, Matkowski, Krogulski, poczem Wydział uchwala zwrócić uwagę komisyi sejmowej na niebezpieczeństwo takiego zarządzenia i prosi p. hr. Mycielskiego, aby podane w dyskusyi rzeczowe argumenty w tej komisyi zużytkował. P. Miziewicz odczytuje petycyę do Wydziału krajowego w sprawie wydzielenia na cele ogólno łowieckie pewnej części funduszu, uzyskanego z opłat za karty łowieckie. (Petycyę tę podamy w przyszłym numerze „*Łowca*"). Rozwija się obszerna dyskusya nad uchwalonem na walnem zgromadzeniu na wniosek hr. Mycielskiego pobudzeniem deleg. do wydatniejszej czynności i referat tej sprawy powierzono wnioskodawcy. Wydział omawia następnie sprawę kart łowieckich i fakt, że w niektórych okolicach kraju, kart łowieckich bardzo mało się wydaje, pomimo znacznej liczby myśliwych. Postanowiono całemi siłami starać się przez delegatów o to, żeby tę niewłaściwość usunąć. Obszerną dyskusyę wywołuje sprawa urgowania zaległości i ewentualnego opustu wkładki ustanowionej statutem. Delegatami mianowano p. Henryka Preka na powiat żydaczowski, p. Józefa Grünwalda na powiat tłumacki — ze względu zaś na zmianę siedziby, przydzielono p. delegata Müntera do grona delegatów lwowskich. Wydział zatwierdził wydatek uczyniony na nagrodę dla zjazdu łowie-

ckiego dolińskiego, zarazem uchwalono udzielić nagrodę dla zjazdu borszczowskiego, który się ma odbyć we wrześniu.



Sprawozdanie

o zjeździe myśliwych w Dolinie.

Dnia 20-go lipca br. odbył się w Dolinie zapowiedziany zjazd myśliwych, mieszkających w powiecie doliniańskim. Przybyło 32 osób mimo pory deszczowej. W razie stałej pogody zjawiłoby się z pewnością znacznie więcej myśliwych. Zgromadzeni w sali „Sokoła“ wybrali na przewodniczącego podpisanego. Omawiano przedewszystkiem sprawę uchwalenia zmian w ustawie łowieckiej. Przewodniczący wyjaśnił wniosek postawiony w tym względzie w Sejmie, przez posła Żardeckiego, przytoczył usterki znajdujące się w obowiązującej obecnie ustawie łowieckiej i podał do wiadomości sprawozdanie komisyi administracyjnej, której Sejm sprawę tę przydzielił. Następnie zabrał głos p. Rylski i wniósł, aby zgromadzenie uchwaliło oświadczenie się, iż sprzeciwia się proponowanej przez posła Żardeckiego zmianie §. 3. ustawy łowieckiej. P. Lipiński przedstawił potem zgromadzonym, że korzystna zmiana ustawy łowieckiej będzie wówczas tylko możliwą, jeżeli do powołać się mającej w tej sprawie przez Wydział krajowy ankiety, wezwane będą osoby obznajomione dokładnie z łowiectwem i jeżeli zasiągniętą będzie opinia galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego. Postawił w końcu wniosek na wybranie komisyi z 3 członków, któraby ułożyła i przedstawiła imieniem myśliwych powiatu doliniańskiego galicyjskiemu Towarzystwu łowieckiemu postulaty w sprawie zmiany ustawy łowieckiej. W myśl tego wniosku wybrano do komisyi pp. Lipińskiego, Kossakiewicza i Dr. Chmielewskiego z prawem kooptowania większej ilości członków. Jako dyrektywę dla tej komisyi uchwalono trzymać się opinii przedstawionej przez powołaną wyżej komisyę administracyjną. Poruszono następnie sprawę podniesienia stanu zwierzyny drobnej. W tym względzie przemawiali obszernie pp. Lipiński, Janowski, Beill, Pisuliński i Szczepański. Uchwalono starać się o należyte ukonstytuowanie straży łowieckiej, o tępienie szkodników, o śledzenie i karanie handlarzy skradzionej zwierzyny i o jak największe przestrzeganie wymogów honoru myśliwskiego.

Na wniosek p. Janowskiego postanowiono przytem odnieść się do galic. Towarzystwa łowieckiego, aby zechciało wydać, jak najbardziej popularną broszurę dla ludu w języku polskim i ruskim, w którejby było jasno i dosadnie przedstawionem, że niszczenie bocianów jest bardzo wskazanem w celu podniesienia stanu zwierzyny drobnej, zwłaszcza kuropatw i zajęcy i że dotychczasowe szanowanie tych szkodliwych ptaków jest jedynie zabobonem i od dawna bez żadnej racyi zastosowanym zwyczajem. Skoroby bowiem broszura ta była czytaną i choć w części zdołała czytających przekonać, wówczas możnaby bez zbytniego drażnienia ludzi, przystąpić do niszczenia bocianów. W końcu wyrażono życzenie założenia w Dolinie osobnego Towarzystwa łowieckiego i urządzenia wraz z takiem Towarzystwem -- istniejącem w Bolechowie, częstszych zjazdów myśliwskich. Ostatni wniosek p. Szczepańskiego, aby połowa dochodu z kart myśliwskich wpływała napowrót do powiatu i była obracaną na koszta tępienia szkodliwej zwierzyny, nie uzyskał większości. Na tem zakończono obrady i udano się na wspólny obiad. O godzinie 3-ciej po południu wyruszyła cała drużyna myśliwska, ze strzelbami na plecach, na miejsce przeznaczone do strzelania do tarcz i kul szklanych.

Podczas pierwszych zaraz strzałów lunął deszcz rzęsisty i lał prawie bez przerwy, podczas całej zabawy, aż do 8-mej wieczór. Tak obfitego deszczu nie było jeszcze tego roku w Dolinie, za to jednak na drugi dzień śliczna była pogoda. Pomimo tego, humor myśliwych nie popsuł się i choć bieda, to paf, paf, paf szło w największym porządku, jakkolwiek każdy zmókł do nitki. Rezultat był jednak pod tym tuszem w strzałach kulami, nawet u doskonałych strzelców, nadspodziewanie niepomyślny. Natomiast kule szklane rozbijano znakomicie. Komisya złożona z pięciu towarzyszy orzekła, że pierwszą nagrodę za 5 strzałów kulami przyznaje się p. Antoniemu Pisulińskiemu, który przez lat dziesięć w Afryce spędzonych najwięcej miał sposobności do nabrania wprawy w strzałach takich. Nagrodą tą był kordelas angielski (standhauer). Drugą nagrodę myśliwską, flaszkę na wódkę, otrzymał p. Juliusz Voigt, a trzecią p. Kulawski Stanisław. Czwartym z rzędu podług ilości trafnych kul był p. Władysław Kossakiewicz, a piątym p. Wł. Marek. W strzałach zaś do kul szklanych otrzymał pierwszą nagrodę ofiarowaną przez galic. Towarzystwo łowieckie, a to wspaniałą torbę myśliwską p. J. Szczepański, o którym czytelnicy „*Łowca*“ mieli ciekawe wiadomości, co do tych złowionych przez niego gołemi rękami dwóch niedźwiadkach przy pomocy p. Spütha i kilku ludzi. Drugą nagrodę przyznano za śliczne strzały, dubletę, p. Janowskiemu Franciszkowi, a trzecią p. Władysławowi Kossakiewiczowi. Czwartym podług ilości rozbitych strzałami kul szklanych był p. Oskar Hansenbühl, a piątym p. Stanisław Rylski. Wszyscy ci myśliwi trafiali prawie każdą kulę, mimo ulewy i wody na ziemi, więc dopiero po dłuższem rozbijaniu się można było porządek nagród ułożyć. W najlepszych humorach, choć zupełnie przemoknięci, wrócili zebrani towarzysze do miasta, a przy kieliszku objawiono ponownie serdeczną chęć i życzenie zebrania się niebawem do wspólnej konferencyi i zabawy myśliwskiej. Kończąc to sprawozdanie składam Szanownemu Wydziałowi gal. Tow. łowieckiego szczere dzięki za gorliwe poparcie urządzenia tego zjazdu, za ofiarowanie pięknej nagrody i pożyczenie maszyny do wyrzucania kul szklanych.

Dolina 23. lipca 1902.

Władysław Marek
delegat.

Imieniem Wydziału wyrażamy szanownemu p. delegatowi, inicyatorowi tego zjazdu, szczere uznanie za jego urządzenie.

Przykład dany przez powiat borszczowski, a właściwie, powiedzmy bez ogródki, przez czcigodnego Ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego, pociągnął powiat doliński i sądzimy, że pociągnie także inne powiaty, sprawiając uczestnikom zjazdów prawdziwą przyjemność.

W Borszczowie odbędzie się we wrześniu trzeci zjazd myśliwych, połączony z zabawą myśliwską na zamku wysuckim.



Pomóżmy im...

Każdy z nas, Polaków, stara się być „uniwersalnym“; każdy musi koniecznie być skończonym literatem, muzykiem, technikiem, politykiem, teologiem, hipologiem, myśliwym... Każdy u nas musi z równem zajęciem studyować „Chimerę“ jak i „Przegląd Techniczny“, każdego z nas obchodzą zarówno wyniki wojny w południowej Afryce, jak — warszawskie Derby. Zmieniamy tylko stosownie do okoliczności naszą powłokę. Jak w Warszawie na wiosnę wszyscy z werwą rozprawiają o wyścigach, tak na wsi w lecie i w jesieni lubią rozwodzić się nad polowaniem i ten sam siwowłosy radca, co zgrał się w sezonie wiosennym w totka, i student wychudły, i starszy żaczek szkolny i płowowąsy ogorzały hodowca — agronom. Szybko krzyżują się nazwiska Greener'ow i Lepage'ów (tych ostatnich szczególnie w ustach starszego pokolenia nemrodów) ze słowami chocke, cylinder, hart-shot; mignie nawet czasami jakaś zapomniana pistonówka, lub lefoszówka.

Że jednak jesteśmy tak wszechstronnie powierzchowni i umiemy wszystko, jak to mówią, po łebkach, więc, chociaż lubimy błysnąć naszemi zdolnościami, chociaż uważamy wszystko, co drukowane za święte, boimy się, jak ognia, pozostawić po sobie jakiś kawałek zadrukowanego lub zabisanego papieru. Bo, co prawda, łatwo opowiadać o wszystkiem długo i szeroko, szczególnie, o ile ma się cierpliwego i śpiącego słuchacza. Ale zupełnie inna sprawa, kiedy mamy uwiecznić czarno na białem nasze słowa. Jeszcze pół biedy kogoś tam ukłóć zręcznie, wydać jakiś wojowniczy okrzyk: „nie ustawać“, lub inny równie energiczny; nawoływać kogoś do wytrwania, pracy, obowiązków i innych wzniosłych rzeczy; jednem słowem, puszczać w obieg z jak największym słomianym zapałem jak najwięcej, ja knajpiękniej i najefektowniej brzmiących frazesów, których zawsze na wszelki wypadek mamy duży, niewyczerpany niemal zapas. Zastosowujemy je w tym lub owym porządku, w tym lub owym tonie do wszelkich okoliczności: mieszczą się one podczas chrzcin, zebrań przedwyborczych, śniadanek koleżeńskich, polowań i wielu innych uroczystości.

Szczególnie w czasie kolacyjki po polowanku, przy kieliszku, co za gładkie miodo-płynne sypią się, jak z rękawa, słówka! Co za hodowcy zwierzyny, co za znawcy broni, a jacy strzelcy, współpracownicy wszystkich pism łowieckich krajowych i zagranicznych; prawie tak wybitni działacze w kniei lub na kartoflanem polu, jak na zielonym stoliku!

Rzeczywiście na jakieś 60.000 myśliwych, (gdyż koło tej liczby bywa wydawanych biletów na broń w gub. Królestwa Polskiego), znajdujemy aż 6, czy 7 nazwisk, które stale ukazują się na szpaltach naszych pism łowieckich, o ile, naturalnie, nie policzymy tych wszystkich panów, co umieszczają raz na trzy lata jakąś ciekawą bajeczkę, to o kożle, co uciekł już z półmiska, to o dubelcie, co miał odstrzeloną nogę i kupił sobie nową w berlińskim zakładzie ortopedycznym, to o psie, co był naczelnikiem dystansu w Stanach Zjednoczonych, lub też coś innego, jeśli nie zupełnie takiego, to przynajmniej w tym guście. Czyli, że przeciętnie na 10.000 myśliwych trafia się aż jeden prawdziwy myśliwy, dbały o rozwój myśliwskiego sportu.

Nie idzie mi o to, żeby z igły robiś widły, ani też sprawę łowiectwa podnieść do kwestyi stanu, do pytania: być czy nie być, ale trzymam się tego zdania, że cokolwiek robimy, starajmy się robić jak najlepiej i nie zamydlajmy darmo ani sobie, ani innym oczu. Polowanie wszyscy uważamy li tylko jako sport, jako zbytkowną nawet rozrywkę, że tak powiem, ale skoro wybraliśmy ją z pomiędzy wielu innych, skoro wydajemy na nią dość pieniędzy, skoro uczuwamy jej potrzebę w przerwach po twardej, uciążliwej pracy i nie umiemy, nie możemy, czy nie chcemy obyć się bez niej, starajmyż się doprowadzić ją do pewnego rodzaju doskonałości, nie bądźmy zwyczajnymi rzeźnikami zwierzyny.

A czy my staramy się przysporzyć organowi jego większej liczby zdolnych i chętnych współpracowników? Wszak jest to pismo fachowe, które nie zapełnia szpalt swoich wiadomościami o teatrach, zabawach, różnych sensacyjnych skandalikach, kradzieżach i interesujących sprawach, którego artykuły muszą być treściwe i poważnie traktowane, a nie być rozprawami „de lana caprina“.

U nas większość myśliwych lubi sobie popukać, zjeść dobrego bigosiku po polowanku; nawet z nadejściem świeżego numeru łowieckiego pisma lubi przeczytać sobie do poduszki dodatek powieściowy, trochę owych sensacyjnych anegdotek myśliwskich, no a nad resztą... zasnąć spokojnym snem sprawiedliwego, zmożonego pracą umysłową i fizyczną człowieka, a na drugi dzień młodemu ordynatowi oddać szczątki numeru na latawca, lub cel. Na czele całego ruchu w tej dziedzinie stoi kilka tylko jednostek, które na barkach swoich muszą dźwigać cały jej ciężar i odpowiedzialność i którym na chwilę nie wolno spocząć, bo inaczej stanęłaby cała maszyna.

Zdaje mi się, że w danym wypadku pp. myśliwym chodziłby powinno, jeśli nie o jakieś inne względy, to przynajmniej o własną ambicyę.

Jan Gluski.

Tak pisze warszawski *„Łowiec polski“*.



Kalendarz łowiecki.

Lipiec.

Wolno strzelać rogacze, ptactwo błotne i wodne.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po $1^1/_2$ ct. od wyrazu).

SPRZEDAJĘ WYŻŁY. Sukę nakrapianą (popielata z brązowym) po Sekt-Waldwärter 3222 z Adony 3464 w drugiem polu, doskonale ułożoną za 200 k. Szczenięta białe w kasztanowate łaty psa i sukę ur. 4 czerwca po doskonałych psach, 60 k. sztuka. Hr. Sumiński — Uszew.

LEŚNICZY z KSIĘSTWA. Żonaty w średnim wieku, znający się bardzo dokładnie we wszystkich gałęziach do swego zawodu, o czem dowiedzieć się można z mych świadectw, lub też od mych dawniejszych panów chlebodawców, pragnę przyjąć posadę leśniczego, lub nadleśniczego od 1. października w Galicyi. Zgłoszenia uprasza się nadesłać W. K. Nr. 300 postlagernd Jurkowo poczta, Kreis Kosten p. Posen. W. Koralewski.



PARA CHARTÓW KRYMSKICH rasowych 9-cio miesięcznych (pies czarny, suka biała) jest do sprzedania. Bliższe wiadomości: „Książę Stanisław Jabłonowski (junior), Bursztyn“.

Poszukuję jednego jamnika lub parki, z rasowych rodziców, jeżeli możliwe czarnych podżarych, dobrze odesłanych. Zgłoszenia w Administracyi „Łowca“.

Strzelba lankastrowa, kal. 16, bardzo dobrze zachowana, roboty Peterlonga, do sprzedania za 60 zł. (kosztowała 120 zł.). Oglądać można w Administracyi w godzinach urzędowych.

DO SPRZEDANIA 3 parki jamników, parka srebrno popielatych, żółto podżarych 50 koron. Parka żółtych, parka kasztanowatych, żółto podżarych po 40 koron. — Zgłoszenia Gottwald, w Skale nad Zbruczem

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.